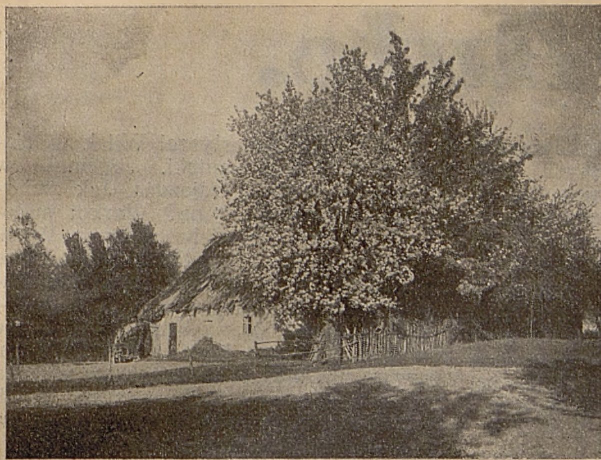


NA TROPIE

ROK V — NR. 9

KATOWICE, 10 MAJA 1932

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca.

Wytrwałość.

Któż z nas nie robi dobrych postanowień!

Z każdym nowym okresem życia, z każdą rozpoczętą pracą, odrzucamy jak balast zbyteczny wszystkie dawne braki, wątpliwości i zniechęcenie i z nowym zapałem stajemy do czekającej nas roboty. W głowie, aż roi się od dobrych i napozór niezmiernie mocnych postanowień.

Upływa wszakże czas pewien i dzień powszedni przysypuje jakby pyłem nasze myśli i uczucia z przed paru tygodni, czy miesięcy. Już nie wydają się one tak piękne, silne i pociągające, a robota, która z początku cieszyła i szła raźno, teraz jakoś nuży i w rękach się rozłazi.

Szukamy więc nowych wrażeń, tęsknimy za jakąś zmianą a niewykonane postanowienia ciążą nam i zatruwają myśli tak, że porównać je można do niewykończonych i nieużytecznych przedmiotów, których najchętniej pozbylibyśmy się cichaczem, tylko że żal trochę włożonej pracy i wstyd własnej niewytrwałości.

Bo właśnie to, co stanęło na przeszkodzie naszym dobrym chęciom i postanowieniom, to brak wytrwałości, to szybkie ostyganie z ognia zapału, którego nie umieliśmy podniecać upartą i wytrwałą wolą. Dziś to, jutro co innego zajmuje nas i pociąga i jakżeż niewiele trzeba, by wywołać zniechęcenie do podjętej pracy.

A przecież niema zazwyczaj istotnych przyczyn zewnętrznych, któreby uzasadniały taką zmianę naszych nastrojów i przeważnie naszą jest winą, że podjęte wyniki nie dały spodziewanych owoców. Brakło woli wytrwania, brakło cierpliwości i nieustannej pamięci o istotnym celu naszego działania.

A tymczasem cóż znaczy w życiu człowieka najwięcej, co właściwie jest miarą jego wartości, jeśli nie czyny, czyny, które nie potrzebują słów, gdyż mówią same za siebie.

Między słowami pełnemi pięknych zamierzeń, a czynem jest przepaść ogromna, lecz między działaniem rozpoczętem i w połowie porzuconem, a skończonem dziełem — chyba jeszcze większa.

A na nas samych, sprawców tych dzieł niedokończonych jakby przez ich zemstę, bardzo źle działa taki stan rzeczy; stopniowo tracimy wiarę w swe siły i zdolności i przyzwyczajamy się do mało poważnego traktowania swych prac i siebie samego. Gdy zaś spojrzymy wstecz, to mimo podjętych nieraz wielkich trudów nie spotykamy na swej drodze żadnych wyników. Więc jeszcze gorycz sączy się do serca, że się męczymy bez celu. A przecież można uniknąć tego wszystkiego!

Silną wolę i wytrwałość wziąwszy sobie do pomocy, nawet słabemi siłami i przy małych środkach dokonać można niezmiernie wiele. Tylko czuwać nieustannie trzeba nad swemi zamiarami i czynami i pamiętać, jaki jest nasz cel w danym okresie pracy, by — gdy opadnie zniechęcenie — pomyśleć o nim, przypomnieć sobie, czemuśmy go podjęli.

A gdy przeciwności zechcą nas zepchnąć z obranej drogi — nie dać się, nie pozwolić sobie nigdy na bezpodstawną zmianę postanowień i zawsze, we wszystkich okolicznościach, trudach i zawodach pamiętać, że aby osiągnąć zwycięstwo — trzeba wytrwać!

J. M. A.

Najpierwszy obowiązek.

Ludzie dzicy nie znoszą obowiązku. Ludzie nawpół kulturalni obowiązki wypełniają, robią to jednak przeważnie bez zapału. Ludzie naprawdę kulturalni i wyrobieni potrafią sami obmyśleć dla siebie liczne, nie wymagane od innych obowiązki, i obowiązki te wykonywują z pogodą i uporem.

Życie nasze otacza dużo obowiązków. Człowiek bezmyślny nie orjentuje się w nich, gubi, traktuje szablonowo lub nierównomiernie. Człowiek inteligentny, chcący osiągnąć powodzenie w życiu, wie, że są obowiązki pierwszorzędne i obowiązki drobne i zawsze, co pewien czas, przeprowadza rewizję swych obowiązków, wyłapuje najważniejsze i na nie uderza, na nich skupia wolę, bo ich realizacja decyduje o zwycięstwach w życiu.

Stop!! Czytelniku, zastanów się przez chwilę nad temi dwoma przesłankami. Są one piekielnie nudne, gdy się je czyta powierzchownie, ale kryją w sobie ogromnie doniosłe hasło dla postępowania harcerek i harcerzy w najbliższych miesiącach. Oto wyciągam z nich wniosek i radzę chwilę nad nim pomyśleć:

Jeżeli jesteś człowiekiem inteligentnym, a uczysz się — to wiesz, że twoim najpierwszym obowiązkiem jest otrzymanie promocji. Jeśli jesteś człowiekiem kulturalnym, dążyć do tego będziesz chętnie i z żelazną wolą. Przecież wiesz, że kryzys dotknął i twoich rodziców, nie wolno ci więc zmarnować ich rocznych wysiłków finansowych. A przytem harcerz i zły uczeń, to są uderzające sprzeczności.

Zostało jeszcze półtora miesiąca. Nawet jeśli ci się nie powodziło, możesz ogromnym wysiłkiem poprawić lub zmienić sytuację. Uderz na nieprzyjaciela!

A. K.

HELENA ZAKRZEWSKA.

Szalone Auto.

15)

— Marylko! — woła Henryk, przebiegając ścieżki i aleje parku.

— Panienko, panie-e-enko! — słychać chłopięce głosy w sadzie i w ogrodzie warzywnym. Ale milczy park i milczy sad, zamilkły nawet ptaki i pszczółki...

Tylko rudy Hryćko, rąbiący drzewo koło kuchni, zezuje z podełba i uśmiecha się skrycie swoim fałszywym, okrutnym uśmiechem. On jeden wie, co się stało.

VII.

Witek krąży od godziny dokoła miasteczka, nie mając dość odwagi, żeby pokazać się we dnie rojącej się na ulicach dzieciarni. Wie dobrze, że ciekawość, z jaką mieszkańcy małych miast odnoszą się do każdego obcego przybysza, ściągnęłoby na niego mnóstwo kłopotów. Niedarmo Sura ostrzegała go przed tem. Wprawdzie Witek nie ma powodów do ukrywania się przed policją, ale w tej chwili nie może jeszcze poszczycić się żadnem odkryciem, które mogłoby dopomóc do odsłonięcia tajemnicy Szalonego Auta. A przesiedzieć się parę dni w kozie pod zarzutem włóczęgostwa, nie, na to Witek zupełnie ni ma ochoty. Coś jednak trzeba zrobić, bo głód skręca mu wnętrzności. Kryjąc się w rowach, skradając się za krzakami, Witek coraz bliżej i bliżej podchodzi do krzywych opłotków. Może znowu gdzieś mignie mu czarna główina Sury i jej wielkie, jakby nieprzytomne oczy. Panienka Marylka napewno chętnieby się nią zajęła. gdyby wiedziała, jak bardzo spragnione nauki jest to małe popychadło. Skąd bierze się w człowieku ta gorąca chęć wiedzy, to pragnienie wydobycia się z ciasnego kątka, gdzie los nas rzucił i ta tęsknota za innem życiem szerszem i pełnem wrażeń, gdy tylu innym dobrze jest żyć w spokojnej niewiedzy, w bezmyślnem przeżywaniu dni, jednostajnych i podobnych do siebie, dni, które spływają się w tygodnie, miesiące, lata, tak, że człowiek nie spostrzeże się nawet, kiedy minie całe życie?

Ludzie głodni usposobieni są zwykle do filozofowania. To też Witek, przemykając się coraz bliżej ku zwartej grupie domów, pogrąża się w rozmyślaniu nad życiem, pełnem melancholijnych spostrzeżeń. Nagle z za gęstych zarośli, otaczających jakiś sad, obszerniejszy od innych, dolatuje go przyciszony dźwięk głosu, który wydaje mu się znajomy.

— Te broszury mają być wszystkie rozdano jeszcze w tym tygodniu. Tam wcale nie są z was zadowoleni — mówi niewidzialny głos surowo. — Żniwa już się kończą, a o strajku parobków ani słychu. Jeśli tak dalej pójdzie, postaramy się o innych ludzi.

— Pozwólcie jeszcze trochę, Julianie Abramowiczu, poczekajcie! — skomli płaczliwie głos drugi. o brzmieniu pokornem i chrapliwem. — Ot, ludzie u nas ciężcy, niech Bóg broni! Nic im w te mózgi nie wbijesz. Mówi im się: tak i tak, szlachta was krzywdzi, Polaki skórę z was zdzierają. Mużyk jeden z drugim głową kiwa, niby rację przyzna, powzdycha, pobiada, no i tyle z tego pociechy.

— A odezwy nasze czytają? — pyta ostro pierwszy. — Dużoście już rozdali?

— Ta rozdajemy i rozdajemy, Julianie Abramowiczu. Ale tu ze starszych mało kto czytać umie, a dzieciom szkolnym boimy się dawać, żeby gdzie nie doniosły niepotrzebnie. Ot, wszystkie te paki już rozdane, cośmy je kiedyś otrzymali. A te dzisiejsze w piątek na jarmarku w Dziśnie rozpuścimy między ludzi. Czy jest co nowego?

— Trudności mamy — chmurzy się głos znajomy. — Wzięli się do nas ostro, ale i tak nie dojdą tajemnicy. Ten ją znał, cośmy go kiedyś przejechali. No i może chłopak, co był przy jego śmierci. Ale chłopak gdzieś zniknął, a tamtych pilnują moi ludzie. Czas mi iść, — zawołajcie innych towarzyszów, naradzimy się jeszcze przed odejściem.

Głosy oddalają się, cichną. Przez gąszcze żywopłotu nie widać nikogo. Witek przyczajony pod płotem nie śmie odetchnąć, żeby się nie zdradzić. Serce mu bije głośno i myśli się plączą. Oj, to napewno bardzo ciekawe, co oni mówili! Ale jak to powiązać?

Zadudnił motor motocyklu. Acha, to ten! To jego głos słyszał Witek w miasteczku na progu apteki. Jegomość w kraciastej czapce. Odjeżdża. Jak zmiarkować, w którą stronę? Warkot motocyklu oddala się, cichnie, zanim Witek wydostanie się z opłotków, już z niego nie będzie ani śladu. Mimo to Witek skulony pędzi ścieżyną między płotami. — Będzie co będzie, dłużej zwlekać nie można. Dróżyna kończy się głębokim rowem. Po drugiej stronie rowu wysoka wydma, porosła zrzadka tarniną. Witek rozpędza się, przeskakuje błotnisty rów, pełznie po stromem zboczu wydmy i kryje się za krzakiem. Domów miasteczka wcale stąd nie widać. Za to wdali wije się gościniec. To szosa w stronę jeziora Świętego. A na niej wiruje tuman kurzu, mknący błyskawicznie naprzód. Tam więc trzeba wrócić. Tylko jeść, jeść za wszelką cenę!

Na wydmie pasą się trzy kozy. A niżej, na kamieniu mała szara postać, nieruchoma, jak drewniany posążek. Witek wpatruje się w nią bacznie. Nagle zrywa się i w kilku skokach jest już przy niej.

— Suro! — woła zdaleka.

Szara chustka opada z chudych ramion. Dziewczynka podnosi na Witka ogromne swoje oczy i lekko krzywi usta. Ma to oznaczać uśmiech.

— Bardzo mnie dzisiaj bili! — oświadcza spokojnie, tak, jakby tylko co z Witkiem się rozstała. — Powiedziałam im. że chcę się uczyć. Przeklęli mnie i wygnali z domu kozy paść. Ale rebe lepszy niż ona, kazał mi ze skrzyni chleba wziąć, więc wzięłam — bo myślałam, że przyjdziesz. Masz!

Duży kawał apetycznego, ciemnego chleba znika błyskawicznie w żarłocznych zębach Witka. Jest także i garnuszek mleka. Sura gestem zachęca chłopca do posiłku.

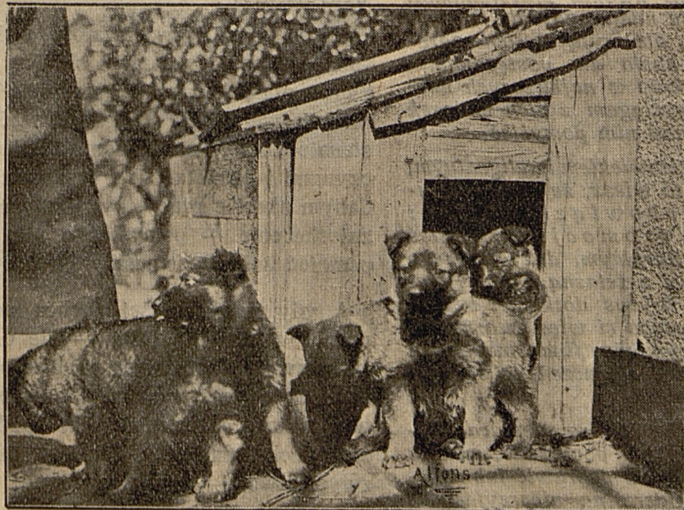
— A ty? — pyta Witek, walcząc z głodem.

Sura rusza ramionami. Ona nie głodna. ona nie chce jeść. Ona chce wied ieć o panience. Bo przecież ktoś musi jej pomóc. Niema rady ona musi się stąd wydostać. Więc Witek opowiada jej wszystko, co wie o Marylce. Niech tylko Sura wytrzyma jeszcze parę dni. Jak tylko skończy się ta sprawa, Witek wróci do dworu i poprosi panienkę gorąco, żeby zlitowała się nad Surą. Tylko ona za to musi mu jeszcze pomóc. Czy można wieczór przyjść do stajenki koziej, jak zawsze? I czy Sura nie wie, do kogo przyjeżdża ten na motocyklu, w dziwacznej czapce?

Sura ogląda się niespokojnie. Oczy jej wyrażają niepokój.

— Nie wiem. Ja ci nie powiem. Oniby mnie zabili. To niedobra sprawa. Idź już. idź, a co do wieczora. to i owszem. Deska będzie uchilona i cosz do jedzenia znajdę, czemu nie? Ale pamiętaj, że oni bardzo biją!

Z głębokiem westchnieniem mała wstaje z kamienia, bierze patyk do ręki i ostrym krzykiem zwołuje kozy. Potem zwolna odchodzi, nie odwracając głowy. Tak, jakby oprócz niej nikogo na wydmie nie było. Dziwna dziewczyna! Ale



Wiosna!

Szlakiem Walnych Zjazdów.

Na Śląsku: Zjazd odbył się w dniu 17. IV. w Katowicach, przy licznym udziale przedstawicieli władz, przyjaciół harcerstwa, oraz żeńskiego, jak i męskiego grona instruktorskiego. Zjazd otworzyła przewodnicząca Z. O. dhna Wanda Jordanówna. Przewodnictwo Zjazdu objął gen. dyr. Ciszewski, który krótkiem serdecznem przemówieniem rozpoczął obrady.

Obecny na Zjeździe Przewodniczący Z. H. P.. Wojewoda dr. M. Grażyński w dłuższem przemówieniu scharakteryzował pracę Harcerstwa w ubiegłym jej okresie i rzucił myśli, które powinny tu, na Śląsku, szczególnie znaleźć swą realizację.

Ks. Biskup Adamski, który również zaszczycił Zjazd swą obecnością, złożył zjazdowi życzenia, zaznacając, że na podstawie swej obserwacji może oświadczyć, iż harcerstwo kroczy dobrą drogą.

Zkolei składali swe życzenia przedstawiciele licznych stowarzyszeń, poczem sekretarz Z. O., Komendantka i Komendant obu Chorągwi złożyli swe sprawozdania.

Po wyborach do nowego zarządu, ks. Milik wygłosił referat na temat: „Harcerstwo a religja".

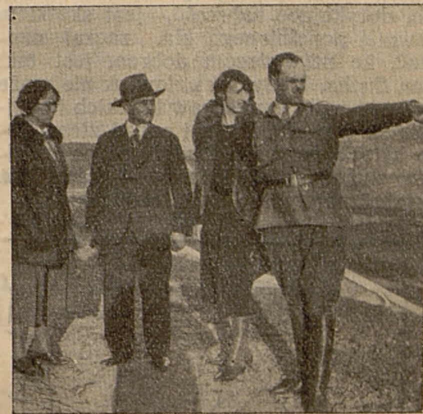
W Krakowie: Najbardziej interesującym momentem Zjazdu Krakowskiego były sprawozdania Komendantki i Komendanta Chorągwi. Wykazały one ogromny rozrost Harcerstwa na tym terenie, wyrażający się cyfrą **4.036** harcerek (2.887 w roku ub.) i **3.666** harcerzy (2.836 w roku ub.). Pracę żeńską znamionuje praca społeczna, która ma stać się terenem, na którym mogłyby się wypowiedzieć starsze dziewczęta, pozostając w ten sposób w harcerstwie po swoich latach szkolnych. Terenem pracy społecznej Chorągwi jest praca wśród dzieci na peryferjach miasta, dzieci wiejskich i dzieci chorych po szpitalach, praca w świetlicach żołnierskich, których 6 harcerki prowadzą samodzielnie, a współpracują w kilkunastu, wydawanie objadów dzieciom bezrobotnych itp.

Praca harcerzy opiera się w dużej mierze na akcji lustracyjnej w 8 lustr. okręgach. Po dokonanych lustracjach odbywały się odpowiednio do potrzeb danego terenu przygotowane odprawy drużynowych, lub zastępowych danego okręgu. W ten sposób lustracje stały się prawdziwem narzędziem, przy pomocy którego Komenda Chor. mogła skutecznie pracować nad podniesieniem poziomu drużyn w myśl śmiałych wytycznych, postawionych sobie przez Komendę.

Zjazd krakowski zgromadził licznych przedstawicieli władz państw., wojskowych i samorząd., Kół Przyjaciół i poważną rzeszę instruktorską. Obradom przewodniczyła pani Wojewodzina Kwaśniewska.

W Kielcach: Zjazd Oddziału Kieleckiego odbył się 24. IV. br. z udziałem przedstawicieli władz, członków Z. O., oraz grona instruktorskiego. Po otwarciu Zjazdu przez Przewodn. Oddziału, prok. Janiszowskiego i powitaniach, dhna E. Grodecka wygłosiła referat ideowy, poczem Komendantka i Komendant Chor. złożyli swe sprawozdania. Chorągiew Kielecka Ż. obejmuje teren dwóch Chorągwi męskich: kieleckiej i radomskiej, stąd przewaga harcerek wyraża się cyfrą ponad 1.600 harcerek w stosunku do 700 harcerzy. Podkreślenia godne jest wielkie wyrobienie organizacyjne harcerek, objawiające się między innemi ogromnie sumiennem uiszczaniem opłat organizacyjnych. Wybory do Zarządu wprowadziły doń 6 nowych osób.

Naczelnictwo Z. H. P. było reprezentowane na Zjeździe przez Naczelniczkę Gł. Kw. Harcerek, dhnę Wierzbiańską.



Dhna Dydyńska, dh. Przewodn. dr. M. Grażyński, dhna Kapiszewska i dh. Szletyński omawiają na Buczu prace, które należy wykonać w związku z mającą się tam odbyć Ż. Konferencją Św.

---

nie czas o tem myśleć. Witek, pokrzepiony posiłkiem, zbiega ze wzgórza ku szosie. Teraz trzeba do Świętego. Może coś się da wypatrzyć ciekawego, coś takiego, coby pozwoliło na pewniaka sprowadzić policję?

Żeby nie wystawiać się bardzo na widok publiczny, Witek skrada się zgrabnie drugą stroną rowu, okrytą zaroślami i chwastami. Idzie naprzód raźnym krokiem, pełen najlepszej otuchy. Wierniś powinien być już w domu. Co też panienka Marylka myśli o tem wszystkiem? I czy też harcerze panicza Henryka na jakie wpadli ślady? Dobrze byłoby mieć ich tu do pomocy. Ale niebezpieczeństwo czai się nad jeziorem Świętem. Nie trzeba na nie narażać nikogo. Może Pan Bóg da, że Witek sam rozwiąże zagadkę.

Szosa jest pusta. Ludzi w polu też niewiele. Zdarza się czasem taki dzień, że niema co w polu robić. Toteż Witek coraz śmielej dąży naprzód. Dochodzi właśnie brzegiem rowu do jakiejś bocznej drogi, wylania się z parowu. I nagle zatrzymuje się zdumiony. Nadsłuchuje bacznie, a potem przypada do ziemi, rozpłaszcza się cały na skraju parowu i kryje głowę w krzak leszczyny, zwisającej nad parowem. Tak, nie mylił się! To przyciszony odgłos samochodu, jadącego cichutko dróżką na dnie parowu. Auto tutaj? W takiem niedostępnem na pozór urwisku? Co to być może?

— Ach!... Krzyk omal nie wydarł mu się z piersi. Witek pięścią zatyka sobie usta i pod osłoną leszczynowych gałązek przewiesza się cały przez ścianę parowu.

To ono! Szalone auto! Dysząc cicho, przedziera się powoli dołem ciasnego wąwozu. Widać wyraźnie czarne, lśniące pudło limuzyny. Dwu ludzi na przodzie, obaj mają twarze zasłonięte ciemnemi okularami i kapturami płóciennemi. Czy jednak jest ktoś w środku? Nie widać, trzeba się więcej przechylić... o tak...

— Boże! Boże! Boże!... to nie może być, to nie może być, to nie może być. Czar jakiś, czy omamienie... Boże! — Witek do krwi gryzie pięść, którą wtłoczył sobie w zęby. Byle tylko nie krzyczeć. Czarna limuzyna wypełza już na szosę. Skręca w stronę jeziora. Motor zawarczał, wypluł obłok dymu, auto poderwało się nagle i pędem szalonym przebiega szosę. Już go niema, już zniknło.

Ale Witek ciągle wisi na skraju parowu, pod osłoną leszczynowego krzaka. Gorące łzy leją się mu na zaciśnięte pięści. Serce rozrywa piersi. Czy to być może? czy to być może? Czy to naprawdę była ona, panienka Marylka, z twarzyczką śmiertelnie bladą, rzuconą bezwładnie na siedzenie w głębi auta? Zjawisko to nie trwało ani pół sekundy, ale Witek widzi ją ciągle tak wyraźnie, że mógłby opisać dokładnie bolesny wyraz zaciśniętych ust, bladość zamkniętych powiek i splot rąk... tak i to nawet zdołał zauważyć, splot rąk, związanych grubym sznurem. Więc jednak nieostrożność Witka i na nią ściągnęła nieszczęście! Porwali ją, porwali... zabiją ją tam, na tej strasznej kępie bez dostępu i to on sam wydał ją na śmierć, na mękę!

Teraz Witek szlocha już głośno, rozpaczliwie, wyciągając ręce do nieba, jakby Boga wzywał na ratunek. Ale rozpacz jego nie trwa długo. Teraz trzeba działać. Nie ma czasu na łzy i rozpacze. Chłopiec zsuwa się błyskawicznie po ścianie parowu i pędem puszcza się za autem. Szerokie koleiny widać wyraźnie na drodze. Trzeba było stwierdzić, czy auto skręciło na kępę czy pojechało dalej, a potem... potem już tylko żandarmerja może coś zrobić. Byle prędzej, byle prędzej!

Wyrzucając ze świstem powietrze przez zaciśnięte zęby, Witek pędzi drogą, jak strzała. Szerokie odciski gum bieleją przed nim dwoma wzorzystemi pasami. Już widać pierwsze domki osady przed zakrętem. Osada jest pusta. — Drzwi domów szczelnie zamknięte. Okna pozasłaniane. Widocznie pojawienie się Szalonego Auta rzuciło popłoch na mieszkańców osady. Tem lepiej, bo nikt Witka nie zatrzyma. Oto i zakręt... — Dzięki ci Boże! Pasy na gościńcu szerokim łukiem skręcają na groblę. Tak, dalej gościniec jest gładki i biały. Auto napewno zajechało na kępę. W tej tajemniczej karczmie zamknięta jest teraz biedna panienka. Witek chce biec za nią. Ale nagle na kilkanaście kroków przed nim wyłania się olbrzymia postać Czarnego Maksyma. Wielkolud staje, odwraca się ku kępie i wydaje ostry świst. Odpowiada mu głuchy, ponury bas poszczekiwania. To pies potwór z panem swoim strzeże tajemniczej grobli. Witek skręca gwałtownie, zawraca, pędzi na oślep przed siebie, bose pięty migają w słońcu tak szybko, jakby wcale nie dotykały ziemi. Ostatkiem tchu chłopak przypada do pierwszej szopy osiedla —

(C. d. n.)

MICHAŁ SIEDLECKI.

ZODJAK NA PUHARZE.

5)

Na paręset lat przed narodzeniem Chrystusa odbyła się w indyjskim świecie wielka reforma religji. Książę panujący nad Bengalem*), bogaty i potężny książę Gautama, wychowany tylko w zbytku i rozkoszach, nagle zerwał ze światem, zaczął rozmyślać nad dolą i niedolą ludzką a potem, po długich przygotowaniach duchownych zaczął głosić nowe zasady, stworzył nowy pogląd na świat i utrzymywał, że wszelkie zło, dotykające ludzkość, jest skutkiem dawniej popełnionego zła, zaczął nauczać, że najwyższem dobrem jest taki stan ducha, kiedy już człowiek nie może być pod wpływem spraw ludzkich i znajdzie się ponad dobrem i ponad złem. Tego księcia nazwano Budda, co po indyjsku znaczy „oświecony" — gdyż już uzyskał najwyższe światło ducha.

Około IX wieku wtargnęli tu z Indyj mahometanie, wysłańcy wielkich władców mongolskich, którzy cały świat podbijali. Buddaizm zniknął, Malaje przyjęli wiarę Mahometa a świątynie zaczęły się rozpadać w gruzy. W Indjach uciekało wszystko przed zalewem Islamu, lub też zmieniało religję. Buddaizm zachował się silnie w Bengalu, w Tybecie i na Cejlonie; a na Jawie, dawni Hindusi, wypierani przez Mahometan, uciekali na Wschód.

Resztki tych dawnych Hindusów to są Tengerezi, których tutaj teraz widzieliśmy.

Ale, kiedy Islam zaczął niszczyć dawne wierzenia, trzeba było ratować dawne świętości. Tengerezi zaczęli oddawać cześć wielkiemu i potężnemu a wiecznie czynnemu wulkanowi Bromo, ku któremu teraz dążymy. „Bromo" znaczy zarazem tosamo co „Brahma" i „ogień". Ten wulkan jest bóstwem tutejszej ludności, tak jak Brahma był Bóstwem Indyj.



Budda nauczający — rozmyślający — wyrzekający się świata.

Ta nowa wiara, czy też religja, zaczęła się szerzyć po całym obszarze Indyj a przeszła na wyspy Sundajskie, na Cejlon, do Siamu, ale też i do Chin, do Japonji a zwłaszcza do Tybetu. W Tybecie powstało potem osobne państwo rządzone przez kapłanów, zaś najwyższy dostojnik buddyjski, zwany Dalai-Lama, zamieszkał w mieście świętem Lhassa, które do dziś dnia jest stolicą Buddaizmu.

Ale dawne wierzenia w różne bóstwa nie dadzą się łatwo wyplenić. To też pomięszały się obie religje i obok czci dla Buddy, w wielu miejscach jeszcze została cześć dla dawnych bogów i bohaterów.

Na Jawę wprowadzili buddaizm bohaterscy zdobywcy hinduscy, pochodzący z Bengalu, którzy na tej wyspie założyli wielkie państwo. Kwitła tu wtedy wysoka kultura i powstały piękne miasta a zwłaszcza wspaniałe świątynie.

— Tak, wiem o tem — przerwał Jasiek — byłem w cudownej, olbrzymiej świątyni w Burubudur i zwiedzałem ruiny w Parambanan. Pierwsza jest poświęcona wyłącznie Buddzie a zaś w Parambanan są jeszcze bramińskie bóstwa. Widziałem tam bardzo interesującą postać bogini Kali, którą lud tam nazywa Loro-Jonggran i uważa za opiekunkę ludzkości. Co to za szkoda, że takie piękne dzieła sztuki jak te świątynie już teraz są tylko martwemi zabytkami!

— Nie dziw się temu — rzekł van Toorp — przecież to, że wszystko poszło w ruinę, to dzieło nowej religji.

Z owych zaś czasów, kiedy jeszcze Braminizm i Buddaizm sięgał od Tybetu do Jawy pozostały niektóre pamiątki. Czci się tu jeszcze bohaterów, a wulkanowi składa się ofiary aby uzyskać jego łaskę. Stary Nal, ten kapłan, którego niesiono przed chwilą, jest spadkobiercą tradycyj religijnych. I on przechowuje cenny skarb, największą świętość. Jest to puhar ofiarny.

Opowiadają, że kiedy przed wiekami zwycięzcy Mahometanie zaczęli wszędzie władać, zjechali się prześladowani kapłani buddyjscy na zimnych i skalistych płaskowyżach Tybetu. Przybył podobno i Dalaj-Lama i kapłani z Chin, z Sjamu i z Jawy. A na znak, że wiara nie da się rozbić i że jedność istnieje, postanowiono, że ofiary będą się spełniały jednakowo na dwóch krańcach świata, do których staroindyjskie wierzenia sięgają.

I zrobiono dwa puhary ofiarne. Jeden zachował Dalaj-Lama, a drugi dano kapłanowi Tengerezów z Jawy. To, co widziałeś na kolanach u starego Nala, to puszka zawierająca święty puhar.

Nikt, prócz Tengerezów nie widział tego puhara, a nawet i oni tylko bardzo rzadko i tylko zdaleka mogą go oglądać.

Podobno jest on ze szczerego złota. Samo naczynie kielicha jest sześcioboczne, zaś na jego ścianach tkwi sześć ogromnych, jasno niebieskich szafirów, szlifowanych na półokrągło, a mających tę właściwość, że w jasnem świetle widać w każdym z kamieni sześciopromienną, srebrną gwiazdę. Te gwiaździste szafiry to t. zw. kamienie Salomona, znane, choć rzadkie w Europie.

Na podstawie kielicha jest dwanaście przepysznych, niebieskich akwamarynów, szlifowanych na płasko, a na każdym jest wyrzeźbiony znak jednej z konstelacyj miesięcznych. Cały więc zodjak jest na puharze, on zaś wyobraża całość świata, korzącą się we czci, podczas ofiar dla wielkiego bóstwa, dla Bromo, dla wiecznego ognia ziemi.

Ten puhar możemy dzisiaj zobaczyć zdaleka. Wiem jednak, że to wcale nie jest bezpieczne! Podobno za dotknięcie się puhara przez niewierne ręce, grozi śmierć świętokradcy. Nawet za spojrzenie czekać może kara. Nal przechowuje tę świętość w ukryciu, tak, że nikt prócz niego nie wie, gdzie i jak jest schowana. Nie wie o tem nawet Ardju, syn jego, ten pijak, choć on powinienby być spadkobiercą godności kapłańskiej.

— To dobrze — rzekł Jasiek — że ten Ardju nie jest wtajemniczony. Teraz tutaj ciągle włóczą się zbieracze osobliwości i starożytności, którzy gotowi byliby kupić lub nawet wykraść tę świętość religijną i narodową Tengerezów. A przecież niczyich świętości narodowych nie powinno się naruszać!

— Wiem, drogi przyjacielu, — rzekł van Toorp, — że masz takie przekonania i dlatego zgodziłem się, by wyruszyć z tobą na tę wyprawę. Ale mam też i inny cel. Wyobraź sobie, że wczoraj około sanatorjum w Tossari widziałem dwóch Niemców, których znam dobrze jako zbieraczy wysłanych przez antykwarjuszów z Berlina i z Nowego Jorku. Obawiam się, że oni właśnie na ten puhar mają ochotę, bo wczoraj dostrzegłem, że jeden z nich rozmawiał z Ardju. Trzeba więc będzie i tych panów mieć na oku, tem więcej, że muszę bronić ustawy niedozwalającej na wywożenie z Jawy przedmiotów sztuki, bez pozwolenia zarządu kolonji.

W tej chwili ku obu towarzyszom zbliżył się Djaa: — „Panie — rzekł — las się kończy; wnet wyjedziemy na przełęcz, z której już widać i słychać Bromo. Tam zboczymy, tak, aby dojść do miejsca, skąd wszystko będzie widać, a gdzie nas nikt nie zobaczy. Ale teraz cicho, ani słowa rozmowy. Konie zostawimy tutaj pod opieką Udjana, który nie ma ochoty patrzeć. O! niech pan słucha, to już Bromo mówi...

Powiew wiatru przyniósł jakiś głos podobny do dalekiego grzmotu, ale dźwięczny i jakby metaliczny a nie kończący się, lecz brzmiący długo... Głos szedł zarówno z powietrza jak i z ziemi — była to potężna mowa czynnego wulkanu.

IV.

Sprytny Djaa widocznie znał te okolice, bo zaprowadził obu towarzyszy na doskonały punkt obserwacyjny. Znaleźli się w gęstych zaroślach, tuż nad brzegiem stromego urwiska. Tu i ówdzie między wysokimi krzewami sterczały ogromne głazy, poza którymi można się było skryć zupełnie; wystarczyło jednak tylko rozsunąć nieco gałęzie krzewów, aby dostrzec rozległy widok na grupę wulkanów, których stożki sterczały z

*) Bengal — część Indyj Przedgangesowych, ciągnąca się od Gangesu do stoków Himalajów.

Na harcerskim szlaku.

UROCZYSTEM ZEBRANIEM w dniu 29. IV. pożegnało Naczelnictwo Z. H. P. dha majora hm. Pfeiffera, dotychczasowego delegata M. S. Wojsk. dla spraw harcerstwa. Wiceprzew. Z. H. P. ks. Mauersberger w dłuższem przemówieniu podkreślił zasługi dha Pfeiffera i wyraził żal płynący z tego rozstania. Dhowi Pfeiffrowi, który odchodzi do Wilna, wręczono na pamiątkę jego pracy piękny obrazek. — Miejsce dha mjr. Pfeiffera objął mjr. Sikorski z Krakowa.

ODPRAWA DRUŻYNOWYCH połud. hufców Chorągwi Poznańskiej odbyła się w Krotoszynie 1 maja. Zgromadziła ona około 50 uczestników, którzy zajmowali się sprawami akcji letniej, następnie zaś podzielili się na 2 sekcje — drużyn szkolnych i pozaszkolnych, obradujące nad zagadnieniami programowemi. Na odprawie byli obecni: Prezes miejscowego K. P. H., delegat M. S. W. mjr. Sikorski i nacz. insp. Wierzbiański. (M.)

DRUH PRZEWODNICZĄCY Z. H. P. jako Wojewoda Śląski przyjął w dniu 3-go Maja sztafety kolarskie hufców śląskich i Zagłębia Dąbrowskiego. W imieniu 59 kolarzy Kmdt. Chorągwi Śl. dh. Grzbiela przemówił do Dha Przewodniczącego — poczem nastąpiło wręczenie sztafet przez poszczególnych członków. Harcerstwo Katowickie wystąpiło w dniu 3-go Maja w ogólnych uroczystościach b. okazale. Oba hufce żeński i męski przedstawiają się obecnie b. pokaźnie.

ZASTĘPY ŻEGLARSKIE I. DRUŻYNY HARC. W TOMASZOWIE MAZ. urządziły w dniu 16 lutego br. imprezę sceniczną, z której dochód przeznaczono na budowę łodzi żagl. Na całość programu złożyły się: Sztuka dramatyczna, Rewja harcerska, ze wspaniale wykonanemi chórami, tańcami narodowemi, pomysłowo skonstruowanem aparatem radjowym i innemi niespodziankami. Na specjalną uwagę zasługiwały stroje narodowe, dekoracje i efekty świetlne, wywołujące swą harmonijną całością silne wrażenie. (N.)

NOWE PRZEPISY MUNDUROWE w Z. H. P. wchodzą w najbliższym czasie w życie. W Chorągwi Warszawskiej 70% drużyn umundurowanych jest wg. nowych przepisów. (L.)

ODPRAWA KOMENDANTÓW CHORĄGWI w dniu 5 maja wzięła udział w uroczystym przeglądzie Chorągwi Warszawskiej w Parku Sobieskiego.

4 APARATY SZYBOWCOWE wyśle Chorągiew Warszawska na Jamboree w roku 1933. Klub szybowniczy „Start" uruchomił już dla harcerzy Stolicy kurs celem wyszkolenia pilotów. Kurs po ukończeniu części teoretycznej w Warszawie przenosi się w lipcu do Bezmiechowa, gdzie odbędzie się część praktyczna kursu. (L.)

ZLOTY CHORĄGWI WARSZAWSKIEJ I POZNAŃSKIEJ odbędą się w Zielone Święta. Zloty połączone będą z zawodami o tytuł „dobrej drużyny Chorągwi".

SCHRONISKO HARCERSKIE POD HOWERLĄ zamierza budować Harcerski Klub Narciarski z Warszawy. Klub liczy przeszło 150 członków. Przed kilkunastoma dniami wrócili reprezentanci Klubu z Howerli, gdzie zakupiono już grunt pod budowę schroniska. (L.)

BIELSKI HUFIEC wydał jednodniówkę „Czuwaj", na której treść składają się między innemi: prof. Klimkowicza: O wartości harcerza w dobie obecnej, sprawozdanie z działalności hufca w 1932 r., wiersz Nasze Słoneczko, Siekierzyńskiego Konferencja St. Skautów Kandersteg, Gawęda Hufcowego, artykuł techniczny z rysunkami: Odległościomierz Inż. Miodońskiego, wreszcie wykaz drużyn Bielska i wiadomości kronikarskie. Jednodniówka wskazuje na dużą działalność obecną hufca.

PIĘĆ KURSÓW GOTOWANIA DLA CHŁOPCÓW miała w ostatnich czasach na swoim terenie Chorągiew Warszawska. Kursy prowadziła fachowa instruktorka p. Jarosiewiczówna M. Na 10-ciu zbiórkach, każda po 2 godziny, uczą się uczestnicy kursów robienia sosów, legumin, kompotów itd. (L.)

WYSTAWA ROBÓT RĘCZNYCH wykonanych przez harcerki i harcerzy Kozłowej Góry była otwarta w dniach 1—8 maja. Wystawa cieszyła się dużą frekwencją publiczności.

15 „ROWERÓW" jedzie z Chorągwi Warszawskiej na Zlot do Norwegji. Będą oni prawdopodobnie uznani za reprezentację Z. H. P. (L.)

---

płaskiej równiny, rozpościerającej się szeroko u stóp stromej ściany.

Patrzyli teraz na olbrzymie wnętrze dawnego krateru. Miejsce, na którem stali, był to szczyt brzegu tego krateru, równina u ich stóp stanowiła jego dno. Księżyc posunął się już ku zachodowi, ale jego jasne promienie srebrzyły jeszcze wszystko naokół. Dno krateru była to płaszczyzna piaszczysta, niemal bez roślinności. Tylko w jej załomach i w głębokich szparach wyżłobionych przez ulewy rosła ostra trawa i jakieś kępy niskich przyziemnych krzewów. Z tej płaskiej równiny wznosiły się trzy potężne wulkany. Jeden z nich, dość wysoki, pokryty równo ułożonemi, głębokiemi żlebami wyrwanemi wodą deszczową, był niemal w środku płaszczyzny; widać było, że w jego kraterze zaczyna się już roślinność bujnie rozrastać, był więc zupełnie wygasły. Drugi, dalej położony, o wysokich, urwistych ścianach, także nieczynny, miał urwany jeden bok krateru i wyglądał jakby wysoki tron duchów, sięgający aż pod niebo. A nieco z boku, niski, o połogich ścianach, bardzo szeroki otwierał się trzeci wulkan.

Z wysokiego urwiska można było zajrzeć niemal do środka tego wielkiego krateru. Widać tam było ogromną, głęboką gardziel otwierającą się ku wnętrzu ziemi. Buchały z niej olbrzymie kłęby pary i dymu, sycząc i szumiąc przeraźliwie, jakby wyrzucane potężną prężnością z piekielnego kotła. Od czasu do czasu syk i szum zmieniał się w ryk potężny, w jakiś dźwięk straszliwy, jakby tysiące kul metalowych przesypywano w kocioł miedziany. Wówczas na chmurach pary pojawiał się czerwony odblask, dym gęstniał i jego kłęby sunęły wysoko choć leniwie a na nich rozbłyskiwały iskierki, lecące szybko ku górze i łukiem spadające napowrót do krateru. Były to rozżarzone do białości kamienie wyrwane parą z wnętrza wulkanu...

— Bromo — szepnął Djaa — Ojciec świata, Wielki Ogień Przedwieczny! — Bromo silny, dający wszystko, opiekun i sędzia...



Bromo.

Obaj towarzysze zapatrzyli się na ten potężny widok.

Tymczasem na szarej płaszczyźnie, u stóp czynnego wulkanu widać było żywy ruch. Zewsząd przybywały gromady Tengerezów. Naftowe pochodnie, przesuwały się jakby czerwone, błędne ogniki między tłumami biało ubranych mężczyzn. Cała płaszczyzna zdała się jednem, wielkiem gniazdem białych termitów, rojących się i ze wszech stron podchodzących ku stopom wulkanu Bromo. Spokojnie i w zupełnym porządku podsuwali się ludzie ku stożkowi czynnego krateru. Pochodnie przesuwały się naprzód, za niemi szły szeregi białych postaci. Szmer i cichy rozgwar, dobrze słyszalny mimo szumu wulkanu, szedł ku niebu od tego tłumu.

W pewnym momencie wysunęła się większa gromada mężczyzn niosących szerokie a krótkie drabiny. Jedną nad drugą ułożono wkrótce tak, że utworzyły się dość wygodne stopnie, wiodące aż na szczyt wulkanu.

Teraz z pośród tłumu wyszedł stary Nal, ciągle piastujący na rękach puszkę z kielichem. Podtrzymywało go dwóch silnych mężczyzn ubranych w białe, powłóczyste szaty, a otaczała ich gromada niosących pochodnie. Powoli i ostrożnie zaczął stary Nal wstępować na stopnie drabin wiodących na szczyt. Pochodnie zostały u stóp, a on szedł podpierany przez dwóch ludzi, coraz wyżej i wyżej. O kilka stopni poza nim wspinał się ku górze Ardju, syn jego, ten co miał być następcą na urzędzie kapłańskim.

Tłum zgromadzony u stóp góry podchodził powoli, pnąc się wprost po stokach wulkanicznego stożka, lecz tylko do najniższych jego części; tam czekał w spokoju i w zupełnej ciszy. Ustał szmer, wszyscy stali bez ruchu, jakby oczekując na jakiś cud.

Tylko Bromo huczał i ryczał potężną pieśń, świadczącą o mocy sił podziemnych.

(C. d. n.)

FELIKS DANGEL, WILNO.

Strzęp życia.



Widywali go chłopi puszczańscy, jak śmigając białemi „portkami“, sunął przez wielkie mszary, wśród rzadkiej brzeziny, o łbie ogromnym brodatym, oparłszy potężne łopaty swych rogów na garbatym kłębie...

Zawsze chadzał sam.

Zimą, gdy kuma zadymka zamiatała duchty i drogi, gdy na niebie kłębiły się ołowiane chmurzyska, ruszał z halizn borowych i niesiony instynktem, biegł w gąszcz kniei, w mateczniki nieprzebyte...

Ginął wtedy na kilka miesięcy, by znów, gdy rozleją strumienie puszczańskie i ziemia odtaje, ukazać się któregoś wiosennego wieczoru na skraju puszczy, wspaniały swym ogromnym cielskiem, z koroną łopat na łbie, tonąc po kolana białe we mgle, którą oddychała ziemia.

Łoś samotnik.

Znali go chłopi puszczańscy, po zaściankach opowiadano o nim legendy. we dworach okolicznych sławiono wspaniały jego garnitur rozroża. To on przecież samie smolarzowi z miasteczka powracającemu wywrócił i pobódł konia... to on nastraszył starą Agatę w boru jak zbierała ziele lecznicze, to na jego łbie widziano djabła Rokitę... on to wreszcie stary łoś samotnik, którego nie imały się kule kłusownika Mikoły...

Żył sam...

Unikał stada, nawet w porze rykowiska jesiennego omijał czupurne, a zarozumiałe byczęta, miał swe ulubione paśniki i szlaki, któremi chadzał... Zimą w kniei, wiosną i latem na rojstach i haliznach borowych...

Od lat wielu, gdy latem dokuczały bąki i stada much, lubił brodzić po mokradłach przepastnych, nurzać się po szyję w ciepłej bagiennej wodzie, trwając tam nieraz, długie, długie godziny... Jak czarny nieruchomy pień...

— — — — — — — — — — — — — —

Nadeszła wiosna...

Jedna z tych już przeżytych kilkudziesięciu, które łoś zapamiętał...

Na odtajałe bagniska zbiegły się z za mórz kaczki i szare żórawie, ziemia w bór — bagnie grząską się stała, a ślad ciężkich jego racic nabiegał natychmiast wodą.

Pędy brzóz nabrzmiały gorzkiemi sokami, wierzba stara zalotnica, ubierała się w „kotki“ nowych kwiatów... W południe brzęczały wśród gałęzi dzikie pszczoły i od czasu do czasu, w podszyciu boru pobrzękiwał trzmiel...

Takich wiosen łoś pamiętał wiele, bardzo wiele...

Wiedział, że stara grobla przez łąkę prowadząca porasta wtedy żółtym kwiatem kaczeńca, wiedział, że wiosną niesłychane wrzaski wyprawia ptactwo wodne, no... i wiedział, że raźniej wtedy bywa na świecie i weselej...

Tak bywało każdej wiosny... ale teraz...

Tak, i teraz coprawda lubił wolnym krokiem chadzać w powodzi słońca na cichej polanie, i teraz smakowała mu świeża trawa... ale to już nie to...

Ostatnia sroga zima nadwyrężyła jego siły. W czasie wielkich śniegowisk z trudem już brnął przez wielkie zaspy, kaszel jakiś i sapawka, chwyciła się potężnej gardzieli, a nogi, te nogi o sprężynowych ścięgnach odmawiać zaczęły posłuszeństwa...

Na domiar złego, co świtania czuł dziwny piekący ból w boku, w którym kiedyś utkwiła zła kula kłusownika.

A przecież dawniej nie dokuczała stara rana...

Dlaczego?...

Łoś poczuł, że się starzeje... Było to dziwne raczej uczucie smutku i złości zarazem, złości na własne niedołężniejące ciało, na gardziel, w której rzężała chrypka... Schylił potężny łeb nad przezroczystą kałużą i pił, pił długo zimną wodę, gdyż ta sprawiała mu kojącą ulgę w bolącej krtani...

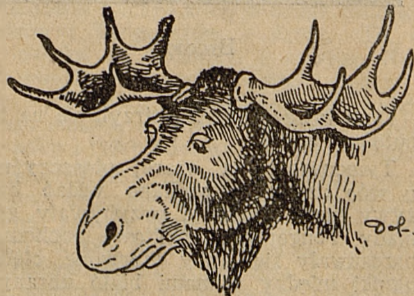
Ponad łąkami powstawał wieczorny opar...

Cieniował i retuszował dalsze plamy, spalał widnokrąg w jedną wielką plamę perłowego półtonu... i pił purpurę nieba, na którem zachodziło słońce...

Hen! tam w dalekiej wsi puszczańskiej, zarechotały psy i zapłonęły pierwsze światełka w małych okienkach...

Bór przyodział się w błękitną szatę mroku o całej gamie tonów od opalu, aż do granatu...

Łoś, chlupotając po rozlewisku, pobiegł w podszycie. Biegł właśnie opodal suchej kępy wierzb starych, gdy wtem ...błysnęło coś opodal.



W zimnym tonie mgły trysnął jasny płomyk, jeden po drugim, a potem suchy trzask rozdarł powietrze...

I jednocześnie ból, ból straszny, piekący rozdarł mu grzbiet i bok... Łoś wierzgnął nerwowo racicą i pogalopował dalej.

Nie widział już tego, że z za pni powykręcanych dziwacznie, z tumanu mgły, wyłonił się człowiek. Szedł cicho, powoli ku tropowi zwierzęcia,, ukląkł nad ziemią badając porastający ją mech...

Na zielonym źdźbełku rośliny, ważyła się mała rubinowa kuleczka krwi... Pierwszy ślad...

Człowiek z zadowoleniem oparł się na broni...

— Nu i poprawsia, nu ty mnie nie ujdziosz.

I ruszył śladem w noc ciemną...

— — — — — — — — — — — — — —

Łoś czuł, że słabnie, że z każdą chwilą bardziej opada z sił...

Nie biegł już, ale sunął powoli, chwilowo bezpieczny od pościgu człowieka. Między człowiekiem, a nim była noc ciemna i puszcza o zmroku nie do przebycia. Na domiar złego przednia noga, drętwieć mu co chwila zaczynała, całe ciało przeszywało dziwne mrowienie, oczy zalewała krew, a we łbie powstawał męt nie do opanowania. I ból ten straszny ból, któren przeszywał całe ciało.

Łoś stękając, ułożył się powoli na suszu leśnym. Długo trwał w odrętwieniu. Wielki łeb kołysał się bezwiednie i opadał.

Aż wtem, po przez czerwoną mgłę obolałej jego świadomości, do uszu zwierzęcia dobiegł dziwny dźwięk — dźwięk — ostrzeżenie...

Rozwarł ślepia...

W ciemnej czeluści boru zamigotały jakieś błyski... Łoś posłyszał szelest bieganiny, ciche skomlenie, ślepia jakieś zapłonęły i przygasły...

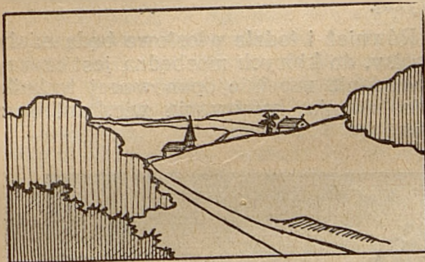
Wilki!...

Łoś próbował wstać.

Jeden wielki wysiłek, skurcz mięśni i upadek na ziemię ze stękiem strasznym... (Dok. na str. 11.)

Każdy harcerz potrafi szkicować.

W każdym z was istnieje nieraz wielka chęć przelania na papier tego, co widzimy, aby móc się podzielić wrażeniami z innymi. Często słyszy się westchnienia: „och, gdybym to potrafił narysować!“. Tymczasem nie jest to nic trudnego; wystarczy trochę wprawy i nieco wskazówek. Szkicowanie terenu z natury i z pamięci rozwija ogromnie zmysł spostrzegawczości, instynktownego wybierania cech dla przedmiotów charakterystycznych i ważnych. Pozatem dobry szkicownik okaże się nieocenionym w drużynie; będzie ilustrował wycieczki, będzie upiększał dzienniczek zastępu i drużyny.



Rys. 1.

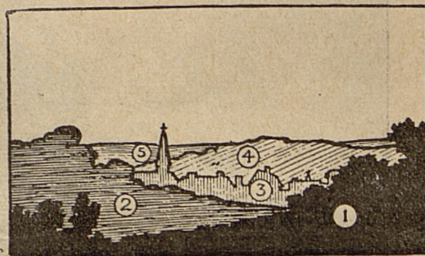
Wielka tajemnica szkicowania polega na umiejętnem patrzeniu i wybraniu tylko rzeczy **najważniejszych.** Dobry szkic ma zawierać tylko charakterystyczne cechy krajoobrazu, pozatem szkic ma być całkiem prosty. Patrząc na krajobraz, notujemy sobie w pamięci kilka głównych cech charakterystycznych jak np. kościół, wzgórze, dwie grupy drzew, na dalszym planie szopę i wiatrak (rys. 1).

A zatem ważne: **Ani jednego szczegółu! Ani jednej zbytecznej linji!**

Nim zabierzemy się do szkicowania, przygotowujemy sobie kawałek tektury lub papieru z wyciętym podłużnym otworem, wielkości naszego projektowanego szkicu. Tekturkę tę trzymamy w wyciągniętej prosto ręce przed okiem, obserwując krajobraz przez ten otwór. Otwór ten ogranicza tę część krajobrazu, którą chcemy naszkicować.

Rozpoczynając szkicowanie przymróż nieco oczy, aby uchwycić ogólne wrażenie najważniejszych cech obrazu. Umiejętne szkicowanie polega na podkreśleniu tego co jest ważne, co rzuca się w oczy a na usunięciu nieistotnych szczegółów, które tylko zamazują cały rysunek. **Rysunek musi być jasny, czysty i przejrzysty!**

Ułatwić można szkicowanie, wyobrażając sobie krajobraz w formie dwu, trzech czy czterech kolejno zachodzących za siebie dekoracji scenicznych (rys. 2), przez co łatwiej uchwycimy te przedmioty, które są istotne i ważne.



Rys. 2.

A zatem śmiałem pociągnięciem nakreślamy te płaszczyzny, i one będą stanowić fundament szkicu. Kreślimy wpierw ogólne zarysy obrazu. Rysujemy prostemi linjami, a więc wzgórze rysujemy jedną linją (rys. 1 i 2), drogi dwoma zbliżającemi się kreskami, drzewa znaczymy prostym zarysem charakterystycznym dla jego pokroju (rys. 3), kościół i zabudowania rysujemy prostemi kreskami, bez zbytnich szczegółów.

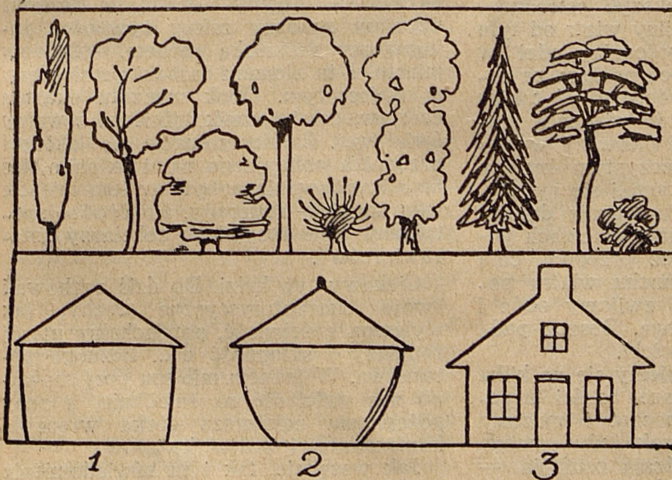
Najważniejszą rzeczą w rysunku jest jasna, zdecydowana linja. Figura 1 na rys. 4 może być zarówno stogiem siana jak i sylwetką chaty; figura 2, to już niewątpliwie stóg, zaś trzecia to już zupełnie widoczne, że to domek.

Jeżeli mamy do naszkicowania krajobraz bardziej skomplikowany np. wioskę z rozrzuconemi domami czy grupami drzew, to trzeba dobrze rozpatrzeć się w obrazie i rozłożyć sobie ten pogmatwany kompleks na kilka jasno zarysowanych grup: tu drzewa, tam strzechy, następnie kościół, znów drzewa itd. (rys. 2).

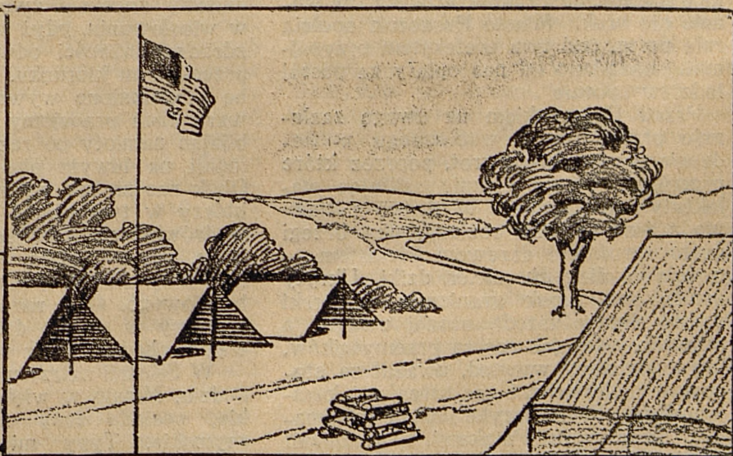
Wreszcie musimy pamiętać o bardzo ważnej zasadzie, iż zwykle przedmioty znajdujące się na pierwszym planie są wyraźniejsze i bardziej się uwydatniają niż przedmioty odleglejsze. Dlatego przedmioty bliskie rysujemy linjami silnemi, grubemi i ciemnemi, przedmioty zaś dalsze jaśniejszemi i delikatniejszemi w miarę oddalenia. Plan pierwszy będzie miał też więcej szczegółów np. przez narysowanie wyraźnej i bardziej ząbkowanej linji drzew itp. Podobnie im przedmiot bliższy tem ciemniej i gęściej go zakreślamy, im dalszy tem rzadsze i delikatniejsze będą kreski (rys. 1 i 2).

Z cieniowaniem trzeba postępować ostrożnie. Jeżeli się cieniuje (rys. 5), to trzeba to uczynić przy pomocy linji wyraźnych, kreskami o odpowiednim nasileniu, zależnym od oddalenia przedmiotu od naszego oka, a nigdy zamazywaniem.

(Według W. Goddard).



Rys. 3 i 4.



Rys. 5.

Przed Zlotem.

Nadszedł już czas do rozpoczęcia intensywnego przygotowywania się do Zlotu, czas ćwiczeń na wodzie. Oczywiście najwięcej da się zrobić na wyprawach i obozach lipcowych, ale i teraz można wiele nauczyć się, byle czasu nie tracić i chwytać za wiosło w każdej wolnej chwili.

Ale nie od wiosła należy zaczynać. — Wszyscy harcerze biorący udział w ćwiczeniach **muszą umieć pływać** — to jest więc pierwszy etap pracy. Trzeba również postarać się o jednolity **strój ćwiczebny**, bo tego będą od Was wymagać na Zlocie. Na strój ten składa się koszulka biała, bez rękawów z czerwoną lilją, naszytą na piersiach (lilję można nabyć w C. K. D. H.), oraz granatowe, lub czarne) jednolite dla całej drużyny) spodenki kąpielowe.

Na Zlocie przewiduje się popisy i pokazy na kajakach dwuosobowych (5,1 m.), jednoosobowych, na szalupach żaglowych odkrytych, o powierzchni żagla 10 m. bez foka, łodziach żaglowych różnych typów.

Na Zlocie obowiązują bezwzględnie zasady używania proporców i bander podane w „Harcerskim regulaminy flagowym".

Aby dać drużynom podstawę do ich przygotowawczych ćwiczeń, ogłaszamy poniżej ważniejsze dane o popisach i zawodach zlotowych.

Tak np. **w defiladzie** wezmą udział łodzie różnych typów. Kajaki defilują po 6 w szeregu, przyczem odstępy między szóstkami wynoszą 5 m., a między kajakami 6 m. Łodzie żaglowe dobrane wg. typów ożaglowania defilują po 3 w szeregu w odległości 10 m. od siebie i 15 m. od następnej trójki. W podobnej odległości defilują łodzie wiosłowe, również po 3 w szeregu.

Dalej przewiduje się 3 rodzaje **korowodów**, dla kajaków. Kajaki biorące udział w **Młynie** tworzą 4 koła, z których jedno duże obejmuje 3 małe, jednakowej wielkości. Kajaki w dużem kole płyną w prawo, w małych — w lewo. Trzeba dobrze ćwiczyć w kajakowych zespołach, aby na Zlocie szyku w Młynie nie popsuć. **Wąż** rozwinie się z Młyna, — względnie będą to dwa węże, jeden z dużego koła, drugi z małych kółek — popłyną one w przeciwne strony, by stanąć sprawnie w duże półkole o średnicy 700 m. Jest to przygotowanie do **Lawiny**, która na sygnał z okrzykiem zacznie sunąć w pośpiechu ku środkowi koła. Biada śmiałkowi, który odważyłby się stanąć na jej drodze.

Kajakowicze będą się również popisywać wyskakiwaniem z kajaka i włażeniem doń z powrotem, oraz holowaniem go wodą do brzegu.

Ale chyba najbardziej atrakcyjne będą **Walki kajakowe**. Wezmą w nich udział kajaki dwuosobowe, przyczem jeden z harcerzy siedzi i wiosłuje drugi zaś stoi na przedniem siedzeniu z dzidą w dłoni. Dzidą tą jest długi kij, zabezpieczony na końcu rękawicą bokserską lub szmatami. Gra polega na podjechaniu do wrogiej łodzi i zrzuceniu do wody uzbrojonego w podobną dzidę przeciwnika. Ćwiczenie to może być przeprowadzone w większych zespołach. — Czyż jednak można stanąć do tej walki bez treningu? — chyba poto, by wnet skąpać się w wodzie.

Łodzie żaglowe zostaną ustawione w szeregu do łopotu pod wiatr. Na pierwszy sygnał podnoszą jednocześnie żagle, na drugi sygnał ruszają w półwiatru szykiem torowym za pierwszą łodzią, zachowując odległość 5 metrów między łodziami. Wyciągnięte w rząd przejeżdżają przed trybunami, poczem robią zwrot i formują duże koło, na którego obwodzie przeżaglują trzy razy. Poza tem przewidziany jest szereg innych popisów o elementach podanych wyżej.

Również i **łodzie wiosłowe** będą miały popisy, do których niezbędną jest rzeczą posiadanie zupełnie opanowanej techniki wiosłowania, hamowania wiosłami oraz zwrotów bez steru.



Ośrodek żeglarski w Charzykowie — baza kursów żegl. Gł. Kw. Harcerzy.

PH. ST. SZYMBORSKI.

Szlakiem Dunaju.

Dunaj w dalszym biegu ma charakter dziki, brzegi błotniste, nieuregulowane, — nad wodą ciągną stada dzikich kaczek, gęsi i mew, których i w wodzie nie brak. Miasto Ruszczuk spełnia rolę portu, pod tym pretekstem przynajmniej zażądano od nas opłaty za postój łodzi w „porcie".

Przed Ruszczukiem na uwagę zasługuje prawy brzeg wapiennego pochodzenia z mnóstwem grot, poprzez które przepływa Dunaj pięknie szlifując stalaktyty i stalagmity. W dalszym ciągu woda jest szeroko rozlana, oba brzegi gęsto zarośnięte drzewem liściastem — nadają okolicy charakter dziki. Ukryty ostatni posterunek graniczny bułgarski wśród drzew uszedł naszej uwagi, a strażnik, uważając nas za przemytników, lub może obcy wywiad, uważał za stosowne zaalarmować nas strzałami karabinowemi. Wystarczyła jednak informacja, że jesteśmy Polakami, aby zmienił swój stosunek do nas na wręcz przyjacielski. Od tego czasu jesteśmy gośćmi już tylko Rumunji, szóstego z kolei kraju, który wypadło nam odwiedzić.

Płyniemy na północny wschód przy pogodzie niezbyt sprzyjającej. Od paru godzin goni nas burza, silny wiatr dmie nam w plecy podnosząc niezwykle wielką falę. Woda wprawdzie nie zalewa nam twarzy, wiatr jest „sprzyjający" ale musimy znacznie zwiększyć ostrożność w wiosłowaniu, gdyż silny wiatr od tyłu zdradza dążności odwrócenia łodzi w przeciwnym kierunku, co pociąga za sobą nieuniknione wywrócenie. W takich warunkach pracujemy do wieczora rozbijając namioty po raz pierwszy w Rumunji na lewym piaszczystym brzegu. Obok nas na noc zatrzymali się rybacy, którzy w tym czasie urządzają dalekie wędrówki w górę Dunaju w celach połowu. Deszcz pada bez przerwy całą noc przy silnym podmuchu wiatru południowego. O 8 rano zwijamy obóz i ruszamy w dalszą drogę. Deszcz pada ciągle, chociaż wiatr ucichł.

W Silistrji zatrzymujemy się na kilka godzin. Miasto w większej części tureckie, posiada duży meczet i muzeum rzymskie. Typy mieszkańców mocno niewyraźne, nie wzbudzają zaufania. — Noc spędzamy zdala od miasta na prawym brzegu. Ranek następny dżdżysty. Ruszamy o godz. 5 płynąc z godzinną tylko przerwą obiadową do wieczora. Wobec przelotnych deszczów nie zdobywamy się na większy wysiłek. Leżymy w łodzi, lub skurczeni w bezruchu siedzimy okryci płótnami namiotowemi, zdając się na łaskę prądu, niestety bardzo już słabego. Mijamy długi most kolejowy w Czernawoda, płynąc dnia tego jeszcze zaledwie 20 klm. (Ogółem 60 klm). O świcie ruszamy z zapasem większych sił. Mijamy Topalo. W Hirsowa czynimy znaczny zakup żywności, zakupujemy rumuńską monetę, oglądamy miasto. I tu element turecki pomieszany z miejscowym. Obok meczetu okazała cerkiew, dalej pomnik żołnierza z wojny światowej. Zainteresowanie się jakiegoś urzędnika policyjnego nami skłoniło nas do zlikwidowania pobytu w tem mieście i do sprytnej rejterady. Po drodze spotykamy wsie rosyjskich sekciarzy „starowierców".

Ciekawy typ ludzi. Do dziś zachowali swoje charakterystyczne cechy, jak wylewna gościnność, patrjachalny ustrój rodzinny i skłonność do... licznego potomstwa. W jednem miejscu przyjmowano nas gościnnie na śniadaniu, a przy pożegnaniu najstarsza córka wręczyła komendantowi bukiet kwiatów.

Jak wszędzie, tak i tu uświadomienie o Polsce jest okropne.

Nie dziwiłby nas brak dostatecznych wiadomości, ale spotykaliśmy pojęcia o Polsce tak fantastyczne i spaczone, że można sądzić, iż są one owocem planowej, przemyślanej propagandy. O polo-

Strój ćwiczebny.

Nie zważając na kryzys gospodarczy i chroniczny brak gotówki w harcerskich kieszeniach, należy zorjentować się jak powinien wyglądać pełen strój lekkoatletyczny, by w miarę możności uzupełnić swoje braki.

Koszulkę gimnastystyczną najlepiej mieć białą, ponieważ estetycznie wygląda i jest bardzo higjeniczna, gdyż zmusza do częstego prania. Koszulki te, najczęściej trykotowe, bywają trzech rodzajów: z długiemi rękawami i kołnierzem — używa się je przeważnie do gier, nadając im różne kolory; z półrękawkami i małem wycięciem u szyji — te poleca się osobom szczupłym i ewentualnie uwłosionym na piersiach, i trzeci rodzaj — zupełnie bez rękawów z głębokiem wycięciem na szyję i ramiona. Kto jest dobrze zbudowany, ten ładnie prezentuje się w takiej koszulce, a ponadto korzysta z łaskawości słońca i powietrza, które mają przy takim stroju bezpośredni wgląd na znaczną powierzchnię skróy.

Spodenki ładnie wyglądają czarne, satynowe, zupełnie przyzwoicie — granatowe lub inne ciemne, nigdy zaś — pstre; spodenek do ćwiczeń używa się zawsze krótkich w każdym razie nie zanadto kusych: Kto ma spodenki do pół uda śmiało może być zaliczony do ludzi niezbyt orjentujących się w przyzwoitym wyglądzie. Lepsze są zaciągane tasiemką, niż na gumie, ponieważ można je odpowiednio zaciskać lub zwalniać, nie grożą one opadaniem podczas ćwiczeń i nie rozluźniają się po dłuższym użyciu.

Noga podczas ćwiczeń bardzo się poci, wobec czego nie należy nosić t. zw. „pepegajów", to znaczy **pantoili** na gumowej podeszwie, oblanych z boku też gumą. Dogodność ich polega na dużem tarciu, co chroni przed upadkiem, no i dość niskiej cenie. Inna odmiana pantofli — na gumowej podeszwie, ale bez gumowanych boków, jest dogodniejsza ze względu na zmniejszone pocenie się nóg; nie wyglądają one jednak tak ładnie jak pierwsze i prędko się niszczą. Najdogodniejsze są tak zwane pantofle lekko-atletyczne: skórzane na zamszowej lub gumowej podeszwie. Skóra na nich miękka, dokładnie obchwytująca nogę, dość przewiewna ze względu na duże wycięcia i oczka do sznurowadeł; podeszwa mało ślizgająca się (kosmki zamszu lub chropowatość indyjskiej gumy); ponadto są bardzo trwałe.

Skarpetki — najbardziej nadają się wełniane — grube, albo cienkie, zależnie od pory roku. Miękkie — chronią od otarcia, wchłaniają pot, nie psując przez to obuwia. Skarpetki powinny być przy treningach odpowiednio wywinięte (nigdy na podwiązkach!).

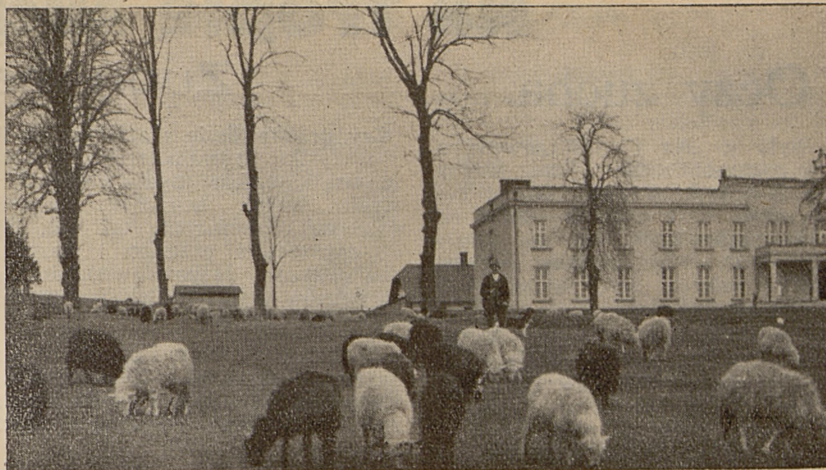
Najlepsze nakrycie głowy — żadne nakrycie, wyjątkowo można nosić beret mocno przylegający do głowy; chroni on włosy od wichrzenia, czasami od słońca.

Na koszulkę i spodenki wkłada się w dnie zimne **bluzkę** trykotową z wykładanym kołnierzem, zapinaną pod szyję (przeważnie t. zw. błyskawicznem zapięciem) z rękawami i długie wygodne bufiaste spodnie zwężone na dole. Kostjum taki zupełnie nie krępuje ruchów, ogromnie jest miły w użyciu a co najważniejsze — chroni przed zaziębieniem.

Kto zamierza ćwiczyć się w biegach, skokach lub rzutach, musi mieć pantofle, w podeszwie których tkwią stalowe kolce, ułatwiające bieg lub w pięcie — ułatwiające skok.

Dwie pary koszulek, dwie — spodenek, pantofle treningowe i pantofle z kolcami, kostjum flanelowy, skarpetki wełniane a w dodatku sweter — oto strój ćwiczebny sportowca.

Zwinny Tur.



Przedwiośnie na Buczu. Fot. Augustyniak.

żeniu geograficznem nie można było wcale mówić. Niemcy i Rosja są im znane, wiedzą jeszcze, że gdzieś, między temi państwami leży „prywilanskij kraj", „Russ-Polska". Zaznaczyć muszę, że prawie bez wyjątku spotykaliśmy się z sympatją względem Polski dzięki dobremu imieniu żołnierza-Polaka, który był w każdej armji i wszędzie dobrą pozostawił opinję. W jednem miejscu pytano nas, jak się naród polski czuje pod rządami cara! Uświadamialiśmy przeto, gdzie było można i śmiem twierdzić, że należycie z tej roli się wywiązaliśmy. Stale płynąc pod polską banderą wszędzie zaznaczaliśmy naszą narodowość. W Braile spotykamy dwoje Czechów, którzy w podróż poślubną wybrali się pieszo z Pragi i aż tu przybyli (około 3 tys. klm.), zamierzając dostać się jeszcze do Konstantynopola.

Galac — 18 klm. za Brailą — to już duży port morski. Ruch wprawdzie słaby, niemniej jednak kilkanaście wielkich statków morskich, przeważnie pod grecką banderą, stoi na kotwicy, pracują doki, widać również luksusowe jachty spacerowe. Składamy wizytę w konsulacie polskim, przygotowując grunt do załatwienia formalności niedalekiej już likwidacji naszej wędrówki. Pan Łukasiewicz, urzędnik konsulatu czyni wszystko, aby móc nam się przysłużyć. Dzięki niemu poznajemy miasto i „stosunecki" tutejsze. Pozostał nam jeszcze ostatni odcinek: Galac — Sulina, 100 mil morskich w terenie nizinnym, wedle mapy — mocno bagnisytm. Dunaj wpływa do morza szeroką deltą; dla celów żeglugi przekopano długi kanał, biegnący od Tulczy wprost na wschód, najkrótszą drogą ku morzu. Dojazd do Tulczy stanowi ostatni moment emocji. Dunaj w tem miejscu (już od dłuższego czasu) płynie bardzo powoli i w pogodę bezwietrzną stanowi gładką powierzchnię wody, jakby stojącej. Tuż za Tulczą skręca Dunaj pod kątem ostrym przechodząc we wspomniany kanał. Miasto Tulcza znajduje się u podnóża wysokiego zwału górskiego. Patrząc nań ulega się złudzeniu, że płynie się przy znacznym spadku rzeki. Niczem nie zmącony spokój wody komplikuje znacznie to wrażenie. Poczynając swą jazdę od Galacu czujemy bezpośrednią bliskość morza. W ciągu 1 dnia nie udało nam się podróży ukończyć. Pod wieczór opadła tak gęsta mgła, że dalsza jazda okazała się niebezpieczną. Rankiem wznawiamy wysiłek, a wypływając na ostatni prosty odcinek — widzimy — bezmiar! Wiosłujemy w milczeniu nie zdając sobie sami z tego sprawy. Jeszcze pół godziny, a dobijemy do drewnianego mola portu Sulina mając przed sobą dwie latarnie morskie wejściowe, a dalej — Czarne Morze!

Łodzie zatrzymujemy w bezpiecznem miejscu, sami udajemy się do kapitanatu portu, aby zameldować przybycie i uzyskać zezwolenie na wyjazd na morze. Nie było to rzeczą łatwą. W wyniku dyskusji musimy grubo opłacić jakiegoś rybaka, który dla bezpieczeństwa naszego życia ma nam towarzyszyć na własnej wiosłowej „barce" w wycieczce po morzu. Płyniemy przy dość spokojnej wodzie do boi kierunkowej około 3-ch klm. od brzegu. Kosztowny nasz opiekun zawrócił w połowie drogi nic nam nie mówiąc. Tu na otwartem morzu spłókaliśmy bandery w słonej wodzie. Czyniąc ucztę na zakończenie — zwabiliśmy wielką ilość mew, które porywały łupiny owoców z dzioba naszych łodzi. Stopniowo wiatr począł się wzmagać, boja poczęła się słaniać po fali i dzwonić. Śpiesznie wracamy do brzegu. Szczęściem wiatr nam sprzyja, jednak fala podnosi się tak wielka, że parokrotnie zalewa nam łodzie. Boja zaczyna jęczeć. U wejścia do portu spostrzegamy naszego przewodnika, — który w milczeniu towarzyszy nam zpowrotem.

W ten sposób ukończyliśmy piękną tę wędrówkę. Przy nieznacznych kosztach przeżyliśmy wiele zdrowych emocyj, zahartowaliśmy się w trudach życia obozowego i przywieźliśmy ze sobą ochotę do pracy i życia.

Na Tropie Zuchów.

Oczy zucha.

Już były w „Na Tropie" gawędy o nosie i o uszach zucha. Teraz trzeba napisać o oczach. A kiedy indziej będzie o języku i o palcach, bo to są wszystko części ciała, któremi ludzie poznają świat, więc bardzo powinno wszystkim zależeć, żeby umieć się z niemi dobrze obchodzić.

Oczy są do widzenia — o tem każdy wie. Ale jeden umie patrzeć, a drugi nie. Naprzykład dwóch chłopców zobaczyło samochód, który przejechał drogą. I jeden z nich zobaczył tylko tyle, że samochód pięknie jedzie i że jest na niebiesko pomalowany. A drugi, zuch, zobaczył i poznał jakiej samochód jest marki, zastanowił się, jaka mogła być jego szybkość (ile kilometrów na godzinę!), po tablicy poznał, że to samochód z Warszawy, gruba warstwa kurzu dała mu do myślenia, że jedzie z daleka, a cyferki wypisane na drzwiach powiedziały, że to taksówka.

Rozumiecie teraz o co chodzi? Zuch powinien umieć wykorzystywać wzrok i **myśleć** o tem, na co patrzy, a wtedy będzie widział daleko więcej, od kolegów, patrzących bezmyślnie.

Jeszcze jeden obowiązek mają oczy: muszą one ciągle wypatrywać, czy kto nie potrzebuje pomocy. Prawdziwy zuch odrazu zobaczy, jak ciężko jest matce schylać się po nożyczki, które spadły na podłogę, spostrzeże niemądrego kolegę, który obrywa skrzydła musze zauważy psa, czającego się na kota.

Wiele możnaby jeszcze opowiedzieć o pożyteczności oczu. Pomyślcie na chwilę, jak byłoby strasznie źle, gdybyście stracili wzrok, to najlepiej zrozumiecie o co chodzi.

Ważnem więc jest bardzo dbanie o oczy. Jest kilka prawideł, które pomagają do zdrowia oczu:

1. Nie trzyj nigdy oczu palcami, bo na palcach jest brud i różne zarazki, od których ludzie chorują na ciężkie choroby oczne — jaglicę, trachomę i inne.
2. Zamykaj oczy, gdy przechodzisz przez tuman kurzu.
3. Nie czytaj przy złem świetle i wogóle nie czytaj dużo przy świetle sztucznem.
4. Naucz się wyjmować z oczu drobne owady i zapamiętaj dobrze, że nie wolno nigdy trzeć oka, gdy coś do niego wpadnie.
5. Jeżeli bez powodu ciekną ci łzy lub zaczerwieniła się białkówka — poproś rodziców, by zaprowadzono cię do lekarza.
6. Nie podbijaj kolegom oczu i sobie podbijać nie pozwalaj.

Mądre to wszystko i nudne — prawda? Ale cóż zrobić, kto chce być zuchem to musi nie tylko w ciekawe gry się bawić — w rozbójników i indjan — ale też czasem różnych dowiedzieć się nauk. Żeby zaś po tej gawędce zrobiło się weselej, radzę urządzić ćwiczenia i zabawy na wzrok. Jest ich dużo, a niektóre nawet bardzo dziwne i ciekawe.

Bambaju.

Zuch majster-klepka.

Czy próbowaliście rzeźbić w mydle? Wszystko, co jest potrzebne do tego — to parę kawałków mydła (najlepsze jest mydło żółte), scyzoryk, drewniana pałeczka, zakończona tak jak pilnik do czyszczenia paznogci i jeszcze jedna pałeczka przymocowana do szpilki od włosów w sposób, jaki jest przedstawiony na rysunku.

Na przygotowanym kawałku mydła oznacza się najpierw ołówkiem lub drewnianą pałeczką rysunek tego, co mamy zamiar wyrzeźbić. Następnie odcinamy scyzorykiem mydło, pozostawiając nieogładzony zarys modelu, który wykańcza się przy pomocy drewnianej pałeczki i narzędzia ze szpilki, zwracając uwagę na równomierne wygładzanie każdej części modelu.

Pierwsza próba może być nieudana, lecz nie trzeba się zrażać, gdyż po kilku następnych uda Wam się z pewnością wyrzeźbić naprawdę ładne modele. Jeżeli chcecie je utrwalić, pomalujcie je lakierem lub pociągnijcie woskiem.

(z ang. H. S.)



Dwie gry.

1. Wytrącanie z równowagi.

Dwa szeregi lub szóstki zuchów stają naprzeciw siebie ze zwartemi stopami, na odległość wyciągniętej ręki. Wysuwając dłonie przed siebie, starają się uderzeniem w dłonie przeciwników wytrącić ich z równowagi, zmusić do poruszenia stopy. Gdy minie pewien czas, oblicza się, ile ogółem w każdym szeregu było wytrąconych z równowagi — i w ten sposób określimy, który szereg wygrywa.

2. Bagno.

Rysujemy na ziemi „bagno" około ¾ m. średnicy. Dokoła zuchy, trzymając się za ręce, tworzą koło i wirując starają się jeden drugiego wepchnąć w „bagno". Kto „wpadnie" — odchodzi na bok. — Ostatni trzej — to zwycięzcy.

Rybie Oko.

Pieśń wojenna.

Dalej wojsko, dalej nasze
W górę szable i pałasze
Raz, dwa, trzy.

W górę szable, w górę kije
Nasze wojsko niechaj żyje
Raz, dwa, trzy.

Niech tam sobie tchórze, baby
Siedzą niby w błocie żaby
Raz, dwa, trzy.

My idziemy na wojenkę
Śpiewający wciąż piosenkę
Raz, dwa, trzy.

Wiadomości z Hufca Krakowskiego.

Tylko kilka ogólnych wiadomości o zuchach krakowskich. Rozbudowa wgłąb a raczej położenie trwałej podstawy przez organizację gromad zuchowych znamionuje obecnie harcerski Kraków. Jest tych gromad około tuzina, dwuch zasadniczo różnych typów: gromady gimnazjalne i gromady szkół powszechnych. Gwiazdą gromad gimnazjalnych jest bezsprzecznie gromada przy IX. Z gromad szkół powszechnych, to Błękitne zuchy, Jastrzębi ród — przy VI kr. Dzieci Krakowskie, samodzielna Gromada Puszczańska przy III kr. i Bożęta przy Czarnej Trzynastce wybijają się na pierwszy plan. Druga gromada Czarnej Trzynastki, zwana Gromadą Wybraniecką, stanowi ciekawą formę przejściową, gdzie młodsi są jeszcze zuchami a starsi już harcują, a mimo to tworzą organicznie jedną całość. — Czarna Trzynastka swemi zastępami harcerskiemi i gromadami zuchów sięga od śródmieścia po dalekie peryferje jak Obrza, Prądnik, Krowodrza, Łobzów, Czarna Wieś. Jednem słowem planowa ofenzywa na zaniedbane pod względem pracy harcerskiej placówki podmiejskie, dające wysoko wartościowy materjał. Wprawdzie zuch z Czarnej Wsi często gęsto wsadzi ręce w kieszenie porciąt i zamaszyście a często gwiżdże najnowsze szlagiery, wprawdzie wyrażenia jego nie zawsze są poprawne, ale zato jest wybornym znawcą gołębi, odróżni „cyza" od makolągwy, gra w palestrę, guziki, płotu czy rowu nie uznaje za poważną przeszkodę komunikacyjną. Słowem — prawdziwe zuchy i jak wierzę, wkrótce doniosą o sobie coś nowego.

(Krak Wodzisław)

◆◆◆

Z. H. P. w Rumunji.

Wielu Polaków żyje poza granicami naszej Rzeczpospolitej — i między innemi 5.000 naszych rodaków zamieszkuje Rumunję, grupując się przeważnie w Czerniowcach i okolicy.

Wśród licznych organizacji tamtejszej Polonii niepoślednie miejsce zajmuje Związek Harcerstwa Polskiego. Istnieją tam trzy drużyny męskie (i dwie żeńskie), poza Czerniowcami rozsiane są licznie zastępy samodzielne. — Żywot drużyn nie ma niestety narazie szans rozwoju z powodu braku instruktorów. Liczba harcerzy w Rumunji dochodzi do 125.

Drużyny polskie wchodzą w skład rumuńskiej organizacji skautowej „Cercetasii Romaniei", ale zorganizowane są w jeden polski hufiec z siedzibą w Czerniowcach, cieszący się wielką autonomją. Komenda „Cercetasii Romaniei" nie pozwala na żadne samowolne zakładanie drużyn, wydając osobiście pozwolenia, ale w tym wypadku idzie na rękę Polakom, pozwalając na zakładanie drużyn polskich tylko tym, co wyszli z drużyn polskich, przezco centralizuje się niezmiernie pracę w polskim hufcu. Harcerze obowiązani są do munduru i odznak rumuńskich, program, stopnie, regulaminy, mają jednak polskie. Przyrzeczenie składają polskie z pewnym dodatkiem, odnoszącym się do pracy na terenie drużyn polskich w Rumunji.

Hufiec w Czerniowcach zorganizował w roku ubiegłym własny obóz w Hliboce na terenie użyczonym przez pana Skibniewskiego, wielkiego przyjaciela harcerzy. Obóz ten doszedł do skutku dzięki pomocy finansowej G. K. M. z Warszawy, liczył 29 członków, którzy przez 14 dni obozowali pod szałasami, przerabiając program na poziomie kursu zastępowych. W sierpniu 1931 dwunastu druhów było w Polsce w Lidzbarku na Pomorzu, uczestnicząc w obozie instruktorskim i zastępowych Chorągwi Zagranicznej Z. H. P.

Obecnie stan Hufca przedstawia się następująco: hufcowym jest druh Antoni Pożar, pierwszą drużynę im. ks. J. Poniatowskiego prowadzi dh. St. Jędrzejewski, jest to drużyna szkolna, liczy 46 członków. Druga drużyna o charakterze rzemieślniczym im. M. J. Piłsudskiego ma 25 członków, któremi kieruje dh. L. Michalewski, jako drużynowy. Trzecia drużyna im. Żółkiewskiego, zwana też „Włóczęgów" pracując pod kierunkiem dh. hm. Z. Stobelskiego, w liczbie swych 25 członków skupia starszyznę tamtejszego harcerstwa. Starszyzna ta jeździ po prowincji zakładając drużyny, zastępy, prowadząc w nich dorywczo pracę. Z środowisk prowincjonalnych wymienić należy miejscowość Kaczyka, gdzie dh. Winnicki zorganizował drużynę i nad jej utrzymaniem usilnie, mimo ciężkich warunków, pracuje. W tej okolicy jest bardzo dużo Polaków, są wsie prawie wyłącznie polskie, tylko brak starszych, którzyby pracę poprowadzili.

Ubiegłej jesieni powstał w Czerniowcach Harcerski Klub Sportowy H. K. S.

Żbik Piewca.



W obozie amerykańskim.

Strzęp życia.

(Dok. ze str. 6.)

A wilki zbliżały się, wietrząc krew świeżą i widząc niezdarność olbrzyma. Jeden skok, jedno szamotanie się i skowyt straszny.

Wilk podbity łopatami wywinął koziołka i padł skamląc w krzaki.

Chwila spokoju i znów atak, jeden, drugi. Łoś czuł, że z każdą chwilą, za każdym wysiłkiem ulatuje zeń strumień życia...

Pozostał jeszcze mały jego strzęp, za wszelką cenę okruchu tego bronić należy. Ale leb coraz to niżej opada, czerwony tuman opłata mózg, oczy, ból wysysa siły...

Gdzieś tam nad głowami wśród gałęzi, zakrzyczał jakiś nocny ptak...

Świat cały zawirował zwierzęciu przed ślepiami i runął w przepaść bez dna...

Łoś nieżył...

O świcie następnego dnia odnalazł go kłusownik Mikoła...

Łoś miał rozciętą krtań i rozdarty bok, z którego widniały jelita...

— Wołki — szczob ich trastia... ale wsio taki i dla mienie coś ostało.

Nad ogromnym trupem zwierzęcia cicho szeptały wiosenne brzozy.

— — — — — — — — — — — —

Na tym zakończyła się tragedja łosia.

Jednego z tych, których zaledwie kilkaset już tylko dzisiaj pozostało w wielkich kompleksach lasów kresowych.

W puszczach: Rudnickiej, Białowieskiej, Szereszewskiej i na Polesiu.

Kilkaset sztuk jako pozostałość z ogromnego zwierzostanu łosi przedwojennego zamieszkujących wschodnie rejony ziem polskich.

Dziś łoś chroniony bezwzględnym zakazem odstrzału rozwija się wspaniale i żyje wolny i imponujący... dopóki dłań starczy bagnisk i borów...

Ostatni z wielkich imperatorów kniei.

Redaktor ma głos.

Dzień św. Jerzego uczczony był wspaniałe, jak o tem świadczą liczne echa o uroczystościach, jakie się wówczas odbyły. Nie było prawie drużyny, któraby nie święciła tego dnia czy to we własnem gronie, czy to wraz z całym Hufcem. Nie możemy niestety zamieścić nadesłanych opisów tych uroczystości, boby nam trzeba było chyba podwoić strony „Na Tropie".

I „Na Tropie" ten dzień święciło po swojemu. Oto dołączyło ono do swego 8-go numeru résumé w jęz. angielskim, opatrzone wstępem naszego Komisarza Międzynar., dha Wołkowicza — i rozesłało ten numer do wszystkich organizacyj zagranicznych. Z różnych stron otrzymaliśmy w odpowiedzi na to miłe pozdrowienia. W coraz silniejszy splot tężeje braterstwo skautowe!

Administracja nie posiada zupełnie 1, 2, 3 i 4 nr. „Na Tropie": tę smutną prawdę musimy nieustannie podawać do wiadomości licznym nowym prenumeratorom, którzy pragną otrzymać numery wstecz od początku roku. Niestety jest wśród nich sporo starych naszych znajomych, którzy nie odnowili na czas prenumeraty, przez co — aż do dnia nowej wpłaty — nieraz po parę miesięcy pisma nie otrzymywali. Sami sobie są winni. Mimo, że „Na Tropie" znacznie zwiększyło swój nakład, tak, że obecnie zasadniczo nie grozi takie wyczerpanie numerów, niemniej tych, którzy **nie uiszczą** na czas prenumeraty, zawsze spotkać może podobna, przykra ewentualność. To też dla odpowiedniego regulowania ilości nakładu „Na Tropie" niezbędną jest rzeczą, by wszyscy przedłużali swoje prenumeraty natychmiast po wygaśnięciu ich.

Druh K. z Pszczyny przysłał nam interesującą fotografię śladów na drodze. Niestety jednak fotografja nie da się reprodukować — wyszłaby na ilustracji jako jednostajna, szara plama.

Hallo! Lublin! Kto zna dokładny adres 8-mej Drużyny? Zapłaciła ona półroczną prenumeratę i podała adres: Szpitalna 12 (bez żadnego nazwiska), ale poczta wszystkie numery zwraca.

Kom. Chor. w Radomiu — z wiersza nie skorzystamy.

D. 192 — wiadomość o treści podobnej nadesłano nam już dawno — jest złożona nawet, ale z powodu braku miejsca — jak wiele innych — nie doczekała się wydrukowania. Może następna będzie miała więcej szczęścia!

Starszo-harcerka z Zawiercia — ze stałych korespondencyj chętnie będziemy korzystać, ale muszą być one — znacznie krótsze.

Komendant Hufca Płockiego — fotografję umieścimy, a kliszę prześlemy Druhowi na warunkach, podanych w Waszym liście.

Druh Wawok z Lille — winien jest nam tylko za książeczkę — 3 zł 60 gr i za „Zastępowego" dla dha St. — 1 zł. Razem — 4 zł 60 gr.

Z **Gostynia** otrzymaliśmy list z prośbą o opublikowanie następującej notatki: „Kierownictwu Kursu Budowy Kajaków przy Komendzie Hufca Harcerzy w Płocku, dhowi harcmistrzowi Kuleszy, pełne słowa uznania za zorganizowanie kursu, który niewątpliwie przyczyni się do rozwoju tej gałęzi sportu w drużynach harcerskich, przesyła — Juljan Kochowicz (uczestnik).

20-a Drużyna Łódzka im. Zawiszy Czarnego nadesłała nam swoją jednodniówkę, którą zatytułowała nazwą, obdarzaną jej członków: „Chrabąszcze". Bardzo to miła i ładnie ilustrowana książeczka, której obfita i interesująca treść oraz dobra forma zewnętrzna może służyć innym tego rodzaju wydawnictwom za przykład.

W Łodzi również wyszły prawidła do gry **„Narodówki"**, pióra W. Jeremiego **Śliwińskiego.** Książeczka ta udostępnia młodzieży jedną z gier o wybitnych zaletach sportowo-wychowawczych, powinna się znaleźć w każdej drużynie.

Na harcerskim szlaku.

KURS NARCIARSKI wspominają jeszcze harcerze z IX. krak. druż. Kurs ten — trzeci już z rzędu — odbył się w Bukowinie podczas małych wakacji. Początkujący trenowali na nim zawzięcie, zaawansowani zaś urządzili wycieczkę do 5-ciu Stawów Polskich i zawody w biegu zjazdowym. (Żbik Piewca.)

BŁĘKITNA DRUŻYNA ŻEGLARSKA W WILNIE „oddycha" przez cały rok obozami, jak się wyraża nasz korespondent. Urządzony na jednej z wysp jezior trockich obóz letni, miał charakter bezapelacyjnie żeglarski. Przy obozie odbył się kurs dla zastępowych drużyn żeglarskich, w którym brali udział druhowie nietylko z drużyny błękitnej. — Drużyna posiada żaglówkę „Wicher" i kilka kajaków. Obóz trwał miesiąc. Następnie kilku członków drużyny wzięło udział w kursie morskim w Gdyni, skąd — zaszczyt to nielada — przywieźli dyplomy sterników morskich.

SZTANDAR ma otrzymać Komenda Hufca w Lublińcu z okazji 10-lecia istnienia drużyny. W celu zdobycia na ten cel odpowiednich funduszów K. P. H. urządziło przedstawienie, które cieszyło się dużem powodzeniem. (x)

RZESZÓW I JASŁO chwalą się z tego, że dobrze im się udały gromady zuchowe. Szkoda, że w liście nic ciekawego o tych gromadach nie napiszą.

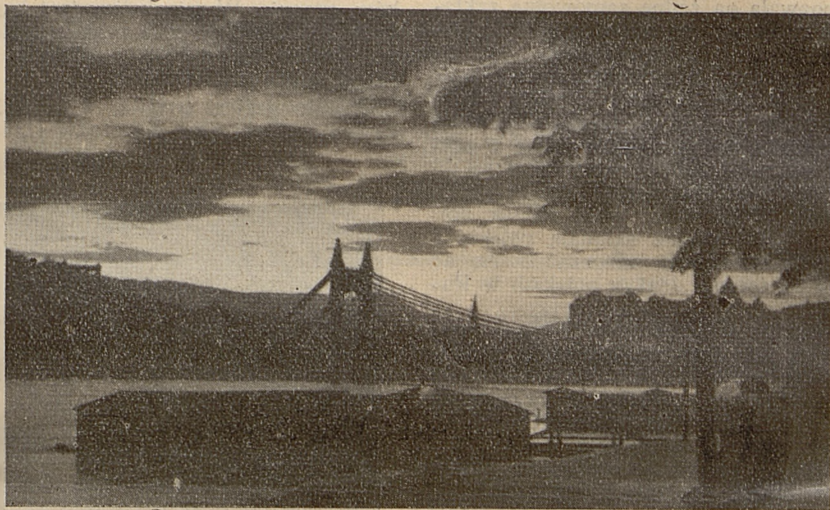
DRUŻYNA ŻEGLARSKA W CHEŁMŻY obecnie liczy 28 członków i posiada 2 żaglówki. Z dniem 15 marca rozpoczęła budowę żaglówki 7-mio osobowej. Drużyna przygotowuje się do Zlotu Międzynarodowego Wodnego. (K. S.)

JAJKO WIELKANOCNE drużyny w Myszkowie było nadzwyczaj miłą uroczystością drużyny. We wspólnej zabawie wzięły także udział Druhny 14. ż. Dr. H. w Zagłębiu. (B)

NAJSTARSZA DRUŻYNA HARCERSKA w Kielcach I. im. D. Czachowskiego obchodziła w dniach 16 i 17 kwietnia uroczyście 20-lecie swej pracy. W Teatrze Polskim odbyła się w przeddzień uroczystości wieczornica. — W niedzielę kapelan Chorągwi, ks. Żrałek, poświęcił sztandar ufundowany przez K. P. H., który po szeregu okolicznościowych przemówień wręczono chorążemu drużyny. Podniosłą uroczystość zaszczycili swoją obecnością przedstawiciele władz rządowych, wojskowych, szkolnych — duchowieństwo i t. d. z P. Wojewodą Paciorkowskim na czele. (K)

10-LECIE ISTNIENIA święci drużyna żeńska w Załężu pod Katowicami. Drużyna pracująca od wielu lat pod kierunkiem jednej z najstarszych harcerek śląskich dhny harcmistrzyni Siwonówny rozwija się coraz wspanialej. Najlepsze świadectwo drużynie daje fakt, że własnemi siłami zorganizowała z okazji swojego święta tydzień harcerski od 8 do 15 maja, na którego nadzwyczaj obfity program składają się: Przedstawienia, festyn, wieczornice, poświęcenie sztandaru, otwarcie wystawy harcerskiej i t. d. Rdakcja „Na Tropie" składa Drużynie najlepsze życzenia na następne 10 lat.

„HARCERSTWO POLSKIE ZAGRANICA" — odczyt pod tym tytułem wygłosił w Jaworznie i Krakowie hm. Stawarski. Dochód z obu odczytów przeznaczono na zakupno książek dla drużyn polskich we Francji. (Sz.)



Budapeszt, który polscy harcerze zwiedzą w roku przyszłym podczas Jamboree światowego.

Ukazał się już 4. nr. „Zastępowego"

Prenumerata łącznie z „Na Tropie" 1.— zł rocznie.

Prenumerata „Na Tropie": z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 gr. Cena numeru 40 groszy. Prenumerata roczna łącznie z dod. „Zastępowy" 7 zł. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski". Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305.330.**

W skład Komitetu Redakcyjnego wchodzą: Olga Grzbielowa, Marja Kapiszewska, Zofja Tworkowska, Jadwiga Laszczka-Wierzbiańska, Witold Bublewski, Jan Grzbiela, Aleksander Kamiński, Henryk Kapiszewski, Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.

Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.